NUMER 24. DNIA 15-go CZERWCA 1903 ROKU ROK XI.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Kara Georgi i Obrenowicze.

Dziejowa Nemezis nie długo na siebie czekać kazała. Wiek jeden jeszcze nie minął dla Serbji, a z dwu rodów, które jej całe niepodległości dzieje wypełniły, jeden znikł już zupełnie. Nie ma już ani jednego Obrenowicza, jakby na pomstę za to, że pierwszy z nich i protoplasta dynastji usnuł tę wstęgę czerwoną, a krwawą, która się przez sto lat przewija po tronie serbskim.

W krytycznych dla wolności Serbów latach od 1805 do 1817 tragiczne dwie postacie występują na widownię ich dziejów. Zrazu sprzyjaźnieni, potem rozdzieleni wskutek gwałtownego nacisku okoliczności, okazują się tu Kara Dżordż i Miłosz, dwaj oswobodziciele ludu serbskiego, dwaj pasterze, dwaj bohaterowie, obaj zrodzeni wśród gór szumadyjskich, obaj założyciele dynastyj narodowych. Dwaj mężowie równych nieledwie dla narodu serbskiego zasług, stojący naprzeciw siebie, z których jeden odpowie przed historją za zamordowanie drugiego. Miłosz Obrenowicz za zamordowanie Kara Dżordża, a syn Kara Dżordża po 16 latach panowania zostanie powołany przed sąd, że zapłacił morderców syna Miłosza w parku Topczyderu, a teraz znowu... ta tragedja w konaku belgradzkim w nocy na 11. czerwca b. r.

Ażeby zrozumieć całą szekspirowską grozę onegdajszego dramatu, cofnąć się trzeba w czasy, o których pieśń serbska spiewa nazwiskami króla Duszana Silnego, co z wojskiem wielkiem na sam ruszał Carogród, świętego Sawy, który był w niebie narodu serbskiego patronem i orędownikiem, królewicza Marka, który się wsławił siłą i walecznością wielką, króla Łazarza, który na Kossowem legł polu, dziewięciu braci Jugowiczów, którzy wszyscy za kraj życie dali, wojewody Kobylicza, który sułtana tureckiego Amurata zamordował. I była pieśń o tych mężach jedynem życiem, jedyną chwałą ludu serbskiego, na całe długie wieki niewoli — ludu, któremu niemowlęta w jańczary porywano, a do haremów dziewczyny.

A po całych stuleciach budzi się myśl ludu ciemiężonego zemstą na wroga. — Zrazu w hajduckich gromadach, potem w austrjackich „frajkurach“ walczą synowie Serbji przeciw tureckiej potędze, aby wreszcie u samego progu dziewiętnastego stulecia powstał po środku nich, mąż wielki, opatrznościowy Kara Dżordż, ów sławny Jerzy Czarny, który samoistnie naród cały do oręża porwać potrafił, a po homerycznych, bezprzykładnych prawie zapasach doprowadził go do zwycięstwa.

Zanim jednak dzieło wolności ku ostatecznemu końcowi doprowadził, opanował go wielki jakiś, tragiczny, do dnia dzisiejszego niewytłu-

maczony obłęd, czy przemoc silniejszych nad ludzką moc okoliczności.

Po dniu 12. maja 1812, w którym Rosja i Turcja podpisały traktat, oddający sułtanowi z powrotem prowincje naddunajskie, kiedy europejska dyplomacja porzuciła Serbów, przez lat 6 gorąco zachęcanych do walki, znowu na pastwę Turków, właśnie w tej strasznej chwili Kara Dżordż -- wódz Serbów, zabierając swe skarby i zostawiając swój lud na łasce Turków, szuka schronienia w Austrji.

Na jego miejsce wstępuje, towarzysz wszystkich jego walk, również włościański syn, a potem serbski wojewoda Miłosz Obrenowicz. — Pieśń ludu serbskiego, wkłada w usta dobrowolnego wygnańca Czarnego Jerzego następne słowa, do Miłosza zwrócone:

„Moja siostro w Bogu, wilo Sawska, pozdrów odemnie moją Szumadję i mego kuma kniazia Miłosza. Niech ściga Turków po wsiach, przyszlę mu dość prochu i ołowiu i kamieni siekących z Sylistrji. A ja idę na rok w służbę cara moskiewskiego, a może mnie tu na dół on przyśle, abym odwiedził ziemię szumadyjską i w Topoli mój dom biały“.

A kiedy w pięć lat później w czerwcu 1817 r. wrócił napowrót do Serbji, był nieproszonym już gościem. Na serbskim brzegu Dunaju czekali na niego zabójcy umyślnie w tym celu przysłani; zaprowadzili go na noc do chałupy, zamordowali we śnie i głowę jego odnieśli Miłoszowi Obrenowiczowi. W pięć miesięcy potem wielkie zebranie narodowe, złożone z prałatów, kniaziów, kmieci nadało Miłoszowi tytuł księcia Serbów z prawem dziedzictwa w rodzinie. — W r. 1820 Turcja zatwierdza ten tytuł, a w r. 1839 rewolucja pałacowa zwala go z tronu, a wynosi syna jego Michała, który także wkrótce pada ofiarą uczuć nieprzejednanych i intryg podziemnych, podczas gdy starszy brat jego ginie śmiercią zagadkową. Na miejsce jego przybywa syn Kara Dżorża, Aleksander Karadżordżewicz. Po szesnastu latach rządów musi Aleksander uciekać z tronu, a starego Miłosza w 78. roku życia powołano z wygnania w r. 1858, który wraca wśród okrzyków radosnych ludu raz jeszcze wziąć do silnych rąk swoich sprawy narodu serbskiego i umiera w dwa lata potem w r. 1860 na tronie, który zbudował.

Syn jego Michał panował przez lat 8 i dnia 10. czerwca 1868, a więc 35 lat temu padł w parku Topczyderze, zamordowany strzałami najemników Karadżordżewicza. Morderstwo to nie przyniosło jeszcze wówczas korony Karadżordżewiczom, gdyż księciem obrany został młodziutki jeszcze podówczas Milan Obrenowicz, który przyjął później tytuł króla i w r. 1889 abdykował na rzecz syna swojego Aleksandra, zamordowanego w nocy na 11. czerwca.

Tak więc dwoma splamiona mordami wraca obecnie serbska korona napowrót do domu Karadżordżewiczów.

„Verlag Dr. J. Marchlewski et Comp.“

Oto jest etykieta handlowa tej instytucji, której doniosłość ideowa zdaje się jeszcze większą będzie od jej materjalnego znaczenia w przyszłości, kiedy szeroko rozwinie się jej praca. Powołał ją do życia człowiek, którego życiorys, obok innych życiorysów bohaterów pracy, męczenników nauki, powinien być integralną częścią elementarza. Da się o nim napisać mały poemat pracy już teraz, kiedy przed młodym człowiekiem dopiero całe życie się ściele. Dr. Marchlewski, jako człowiek-muskuł i jako człowiek-intellekt jest harmonijnym i nawet absolutnie estetycznym jednostkom musi imponować. Etapy jego życia to siedmiomilowe kroki olbrzyma, człowieka, rozwijającego się aż do pełni swych pożądań, ideałów, ambicji, celów. Dr. Marchlewski, socjolog poważnego stylu naukowego, publicysta i dziennikarz, deklamuje z pamięci a z umi-

łowania całe antologje poezji wyborowej, a robotnikiem farbiarskim będąc, ślęczał nad doktoratem. Marchlewski to *Vollmensch*, reprezentant pięknej, plemiennej energji, człowiek mądrego czynu, co lubi deklamować swoich ukochanych poetów, ale na deklamowanie doktrynerskich frazesów nie pozwolił sobie nigdy. Marchlewski to jeden u nas z nielicznych przedstawicieli „radykalnego europeizmu“ z koteryjną ciasnotą i widnokręgami galicyjskimi mający niewiele nici łączących, z młodą Warszawą wspólne chyba tylko wspomnienia; dla „młodej Polski“ jest on jednym z atutów, który — Boga chwalić — żadnego lirycznego tomiku nie wydał, ale całem swem jestestwem dokumentuje to, co Młoda Polska ma w sobie z zarodków lepszego jutra, mądrzejszej przyszłości, piękniejszych mozołów. I teraz, kiedy ten „cichy społecznik“ monachijski, który czerwony sztandar chowa w biurku, jak relikwje obok fotograwur Rembrandta i Van Dycka, nowel K. F. Meyera i poezji Hoffmannsthala a Matejkowskich reprodukcji, kiedy ten zakapturzony w rynsztunku agitacji artysta ufundował wreszcie podwaliny mądremu przedsiębiorstwu, należy zwrócić uwagę ogółu na jego dzieło, na przyszłość jego dzieła. Tu ideą przewodnią było wyrwanie polskiej literatury z roli kopciuszka europejskiego. Nie mamy i nie godzi się nam wiecznie łudzić. Europa szeroka zna albowiem przeważnie polskich wirtuozów, a inteligencja europejska o myślących i cierpiących artystach piszących dowiaduje się tylko sporadycznie, przypadkowo, z łaski. Tu zaś chodzi o rehabilitację do pewnego stopnia przed intellektem europejskim, o udowodnienie kilku syzyfowemi pracami, że obok salonowej, dumasoskiej prozy mamy kilku poetów, bo krwią piszą i że gdy oficjalne gościńce wszystkie u nas wiodą *ad limina apostolorum*, bocznemi ścieżkami całe już szeregi spieszą do prawdy, do światła, do wolności ducha.

„*Verlag Dr. Marchlewski et Comp.*“ zaprezentuje więc w szeregu d o b r z e tłómaczonych dzieł pisarzy polskich i rosyjskich przeważnie młodych, nie mających nic wspólnego z „familijną beletrystyką“ i zaczyna szczęśliwie od Gorkiego, Berenta, Żeromskiego, Przybyszewskiego i Bagrynowskiego. Kontrakty, zawarte z najwybitniejszemi siłami polskich, rosyjskich i skandynawskich pisarzy (Heydenstjerna, G. Wied) pozwalają tej firmie nakładowej na wyłączne prawo publikacji tak niemieckiej, jak i w języku piszącego autora. W ten sposób utwory polskich pisarzy, wyłączonych z pod praw konwencji berneńskiej, zostają zabezpieczone przed przedrukami, tłómaczeniami fatalnemi itd., a ten trust Marchlewskiego w szlachetnej tego słowa interpretacji i materjalnie niezmierne przynosi korzyści.

Nakładcy niemieccy *obstupuerunt intentique ora tenent* nad tą nową a tak rażąco inną formą „polskiej gospodarki“. Wyrwano im tysiące tysięcy marek z gardziołków i pokazano, że Polak nie tylko umie być Płoszowskim i Połonieckim.

Dla społeczeństwa to wzór dzielnej i m ą d r e j inicjatywy, dla nas, piszących, nadzieja wyjścia poza... warszawskie podwórko i uznanie lub nieuznanie panów X. Y. Choińskich.

A. Neuwert Nowaczyński.

Włodzimierz Wolski.

(Ciąg dalszy.)

W wieczór uroczysty przybyli wszyscy punktualnie o oznaczonej godzinie, brakło tylko dwóch głównych postaci: Mefista i Fausta.

Tymczasem salony państwa Łuszczewskich, zapełniały się szybko, a chociaż zwykle zbierano się w nich bardzo późno, tak dalece, iż z tego powodu były nieraz narzekania, śmiechy, twierdzenia, że to nie są wieczory poniedziałkowe, ale wtorki ranne, dnia tego już o dziesiątej zebrało się wszystko, co naświetniejszego miała ówczesna Warszawa, tak wielkie było zaciekawienie.

Pani Łuszczewska, zaniepokojona niepojętą nieobecnością głównych aktorów, posłała kogoś z zaufanych przyjaciół do Fausta, u którego najczęściej przebywał Wolski. Poseł powrócił niebawem z hiobową wieścią, iż znalazł Fausta niemniej zaniepokojonego, przechadzającego się po pokoju w balowym stroju w oczekiwaniu Mefista, ale ten zawieruszył się gdzieś od samego rana i nie można go było odszukać w żadnym ze znajomych domów, ani w restauracji, ani gdzie się mógł znajdować. Faust uczynił wszystko, co do niego należało, przygotował nawet szatańskiemu towarzyszowi cały strój, począwszy od lakierów a skończywszy na rękawiczkach, chodziło o to tylko, by się znalazł i przywdział go.

Położenie było rozpaczliwe, tembardziej, iż nikt nie mógł zaręczyć, czy nie był to złośliwy figiel ekscentrycznego poety i jak daleko chciał go posunąć. Mógł on zresztą bez złej myśli w jakiem hulaszczem towarzystwie zapomnieć o wieczorze pani Łuszczewskiej, Fauście i całym świecie, a wreszcie mógł spać w jakim kącie snem sprawiedliwych. Wszystko to było możliwem.

Pani Łuszczewska słała posła za posłem do nieszczęśliwego Fausta i odbierała jedną odpowiedź: „Wolskiego niema. Wszelkie poszukiwania daremne“. Faust zaś nie tylko sam nic nie znaczył, ale w nim była jedyna nadzieja dostawienia Mefista, skoro się tylko ukaże.

Położenie pani Łuszczewskiej nie było wcale godne zazdrości.

Wreszcie około godziny 11. Wolski zjawił się w „Rzymskim hotelu“ u swego towarzysza, ale w jakimże stanie! Zabłocony, zziajany, brudny, a do tego zły piekielnie. Niepodobna się było od niego dopytać, gdzie był i co robił dotychczas. Podobno odprowadzał o parę mil za Warszawę i żegnał jakąś piękność, miłą swemu sercu.

Zjawił się znowu poseł pani Łuszczewskiej z karetą, ażeby prędzej dostawić głównych aktorów, ale Wolski na czynione sobie wymówki odpowiedział swoim zwyczajem, żeby mu dano święty spokój, że jest zmęczony, głowa go boli, chce spać, deklamować dziś nie myśli i nie robi sobie nic a nic z przedstawienia i z całej Warszawy.

Kiedy wreszcie udało się go udobruchać, nakarmić, wystroić i przywieźć, było już po dwunastej a pomiędzy zniecierpliwionymi gośćmi snuła się blada gospodyni, nie wiedząc, jak upozorować niepojęte opóźnienie przedstawienia. Można sobie wyobrazić jakie westchnienie ulgi wyrwało się z jej piersi, kiedy ujrzała wreszcie wchodzących pospiesznie głównych aktorów.

Pomimo tak niefortunnego wstępu przedstawienie udało się świetnie, a oklaskując tłumacza i aktora, pani Łuszczewska darowała mu opóźnienie, które ją takiego niepokoju nabawiło.

Wchodziła tu tylko w grę cygańska lekkomyślność. Wolski jednak bywał często złośliwy. Po Warszawie kursowały nieraz jego satyryczne wiersze, ośmieszające niemiłosiernie różne osoby, grupy towarzyskie, współliteratów, bez żadnego względu na ich stanowisko. Obrażał ich tym sposobem i robił sobie wielu nieprzyjaciół. Lubił też żartować z ludzi, wywlekać na jaw ich słabe strony, a to przebaczano mu mniej jeszcze. Nieraz naprzykład opowiadał on osobom, zajmującym się ruchem literackim zagranicznym, o utworach znanych autorów, które naprędce wymyślał, cytował ich treść, zachwycał się pięknościami, które wynosił pod niebiosa, czatując złośliwie, czy słuchacz tych wiadomości nie puści dalej w świat, jako spostrzeżeń własnych. Sam

też niekiedy zapytywał ponownie o te fikcyjne utwory i gdy spotkał się z zapewnieniem, że je czytano, puszczał wodze swej satyrycznej żyłce. Kobietom starał się zawsze przypodobać i miał do nich szczęście. Nie brakło też w jego życiu głębszego uczucia, wogóle jednak pozował na demoniczność i na każdej spotkanej kobiecie usiłował wywrzeć wrażenie. A przy jego bystrości, układności, talencie i sławie, udawało mu się to często, tem bardziej, że powierzchowność pomimo częstego zaniedbania umiała zwrócić uwagę. Przepadały za nim nieraz poważne matrony, których opowiadań umiał słuchać ze szczególną uwagą. Między innemi był w wielkich łaskach u wojewodziny Nakwaskiej, autorki „Czarnej mary" i kilku nowelek dla młodzieży, oraz pamiętników, które nie wiem z jakiego powodu spisywała po francusku. Zapewne w młodym wieku szła bezkrytycznie za panującą modą. Gdy teraz zapragnęła pamiętniki przygotować do druku, nie mogła tego sama uczynić, mając wzrok bardzo osłabiony. Szukała więc kogoś, coby jej w tem dopomógł, ale tu okazała się trudność w znalezieniu osoby, któraby przy uzdolnieniu literackiem doskonale władała językiem francuskim. Ktoś nastręczył jej do roboty Wolskiego i za jego namową zaprosiła szczupłe kółko zaufanych przyjaciół i znawców, ażeby im owe pamiętniki odczytać, a były one ciekawe ze względu wysokiego położenia, jakie zajmował kiedyś wojewoda Nakwaski. Żona więc jego miała sposobność widzieć i obserwować wiele.

(C. d. n.) *Walerja Marrené Morzkowska.*

Bajeczna watra.

(Z FRANCUSKIEGO.)

(Dokończenie.)

— Niema więcej drzewa w obozie, ogień dogasa — zrobił uwagę jeden z oficerów.

— Nie wygaśnie! — zaprzeczył stojący obok kapral i wskazał na dwóch ludzi, którzy zbliżali się z dużym wózkiem, napełnionym pakami.

— Oto nasza wiązka chrustu! — rzekł pierwszy.

Rozbijano obcasami paki i naręcza, pełne jakichś tkanin kosztownych, rzucano w dogasający żar; płomienie buchnęły.

— Cesarski ogień — szepnął Champeaux.

Nadchodzili drudzy, prowadząc objuczone muły, teraz była kolej na mantyle koronkowe czerwone, niebieskie, tak delikatne jak z pajęczej tkaniny; nie miały one czasu nawet upaść na ziemię, podmuch złocisty ognia porywał je, unosił, rozbijał w powietrzu jak deszcz płomienny. Zapał ogarnął tłumy, wszyscy rzucili się do wozów z łupami!

Tam były ich skarby, wszystko co wieźli do Francji, zabrawszy w Burgos. Cesarz zdawał się nie widzieć; ręce jego oparły się na kolanach, broda zwisła mu na piersiach.

— Śpi — rzekł ktoś.

I szept obiegł obóz:

— Cesarz śpi...

Jeden z kirasjerów rzucił pakę — pełna była wachlarzy, odgłos ten poruszył cesarza.

— Obudzisz go — mruknął Champeaux.

I jednym ruchem ręki odsunął kirasjera; zagłębił swe dłonie i rzucił wachlarze w ogień.

Podobnych pak było trzy, wypróżniono je i rzucano ze wszech stron; a te cacka cenne, jak motyle padały w płomienie, i widziano, jak ogień je obejmował, ukazując ryte na nich napisy „recuardo".

Drogocenne wachlarze, arcydzieła cierpliwej pracy ludzkiej, tysiącami znikały. Palono majątek.

Cesarz spał ciągle...

Piętnaście tysięcy ludzi go otaczało, w pierwszych szeregach gwardja, dalej, poza obrębem świetlanym niezmierny tłum, kipiący entuzjazmem, z rozpłomienionemi oczami.

— Teraz kolej na obrazy! — zauważył ktoś półgłosem.

I zobaczono grupę artylerzystów.

Pojawiły się płótna ogromne, wyobrażające krwawe sceny, wyobrażające niewinne kobiety, unoszone w obłoki wśród aniołów.

— Wstrzymać się!

Zbliżył się pułkownik chcąc przeszkodzić zniszczeniu, lecz na gest, jaki ludzie zrobili — cofnął się, kładąc prawicę na głowni szpady i zadawalniając się powiedzeniem do towarzyszącego mu oficera:

— Patrz pan, to Ribiera...

I w miarę jak te bezcenne pomniki genjuszu padały w ogień, on objaśniał:

— To Murillo, Velasquez, Goya...

W oddali szedł głos po obozie:

„Wyszedł z namiotu, chciał spędzić noc ze swoją gwardją!“

Żołnierze uderzeniami siekier rozbijali zamki swych kufrów, i wszystkie bogactwa poszły, by ogrzewać cesarza, — i malowidła jedwabne, które płonęły jak złote zasłony i przepaski purpurowe, które można było wziąć w tym płomieniu za węże skrzydlate i zwoje koronek, przez których otworki przemykały płomyki i prześliczne taborety o trzech nogach, inkrustowane masą perłową i lustra w ramach ozdobnych i mandoliny i stare instrumenty jeszcze maurytańskie, i tamburina o srebrnych grzechotkach i kastaniety z drogocennego drzewa, puginały nawet, których szerokie ostrza lśniły w ogniu jak języki żmij jadowitych!...

Jeden dragon rzucił zdobyte perfumy...

Cesarz spał ciągle...

Paki wypróżniły się wkrótce...

Po jakimś czasie jednak ogień zaczął dogasać; była północ, i chłód nocy, wygnany daleko za obóz, powrócił mrożąc głosy.

— Nic więcej nie mamy, — rzekł któryś.

Napoleon szeptał przez sen tajemnicze słowa...

Gwardja, zdecydowana pozostać tak do rana, jednem automatycznem poruszeniem przysiadła otulona w płaszcze, za nią poszli huzarzy, dragoni, kirasjerzy, i melancholja tych tysięcy wojska otaczała cesarza... On spał ciągle, siedząc w swym fotelu. Żołnierze pierwszych szeregów, wszystko starzy gwardziści, mogli słyszeć jego oddech...

— Patrz, jaki on mały — szepnął jakiś głos — w tym fotelu czterech tej miary by się zmieściło.

— A jego ręce, to ręce dziecka...

— A nogi? Możnaby rzec, że to nogi tych tam Egipcjanek, któreśmy widzieli.

— Słuchaj — mówi coś...

Istotnie cesarz mówił przez sen i wpół zaledwie pochwytne słowa padały z ust jego:

— Anglja... Wschód... narody... moja szpada... świat cały, Francja jedna...

— Co on mówi? Co mówi? — szeptano.

I płaszczyzna ożywiła się, w tym szepcie tysięcy — cienie podnosiły się, chciano wiedzieć — starano się dosłyszeć.

— Ogień dogasa — zrzędził Champeaux, któremu ciągle szło o ten chłód nocny.

W tej chwili, przerzucany z ręki do ręki ponad głowami, wpadł w szeregi gwardji duży pakiet; kilku starszych rozwiązało go — to był ostatni skarb jeszcze — instrumenty muzyczne.

— Rzuć je, Ripart.

Ripart rzucił, ogień natychmiast ożywił się.

Noc gwiaździsta pokryła dolinę.

I podczas gdy struny mandolin pękały w ogniu, żołnierze gwardji, siedząc ciągle nieruchomo, otaczali cesarza, bez cienia żalu za straconą w ogniu fortuną. Pokazując sobie ten fotel i małą postać uśpioną, której krzyż złocisty lśnił na mundurze, pokazywali go pełni wzruszenia, widząc go tak słabym; śmieli się, płakali, szeptali jeden z drugim, robiąc sobie znaki, przykładając palce do ust.

Cesarz spał ciągle...

EDMUND LIBAŃSKI.

POPULARYZACJA SZTUKI.

Rytownictwo w Polsce.

„...Kiedy Włosi mieli swego Marka Antoniego, prawdziwego Rafaela sztycharstwa, Niemcy wielkiego Dürera, Niderlandy swego Łukasza z Lejdy, to i Polacy nie pozostawali w tyle, — równocześnie a nawet nieco wcześniej od tamtych mieli swego rytownika, sławnego snycerza i rzeźbiarza Wita Stwosza, który wówczas, kiedy rytownictwo we Włoszech przez Masso Finiguerra około 1452 roku wynalezionem zostało, miał już lat 14, a którego ryciny dzisiajdo największych rzadkości się liczą i bywają również jak Marka Antoniego i Dürera, poszukiwane i przepłacane...“ — tak czytamy we wstępie do „Słownika rytowników polskich“ Kołaczkowskiego, który wylicza wszystkich miedziorytników i drzeworytników polskich od najdawniejszych do najnowszych czasów.

Zamieszczonych jest tam 627 rytowników, między którymi było 34 kobiet, w „Słowniku zaś malarzy polskich“ i „Słowniku rytowników polskich“ Rastawieckiego zebrane są i wyliczone wszystkie ich dzieła.

Wielu naszych rytowników przewyższało współczesnych zagranicznych, a ponieważ w obcych krajach znajdowali lepszy zarobek, przesiedlali się tam. Z tego powodu niektórzy nasi rytownicy znani są więcej za granicą, aniżeli u nas; a nawet cudzoziemcy przywłaszczają ich sobie i szczycą się nimi. Dość wspomnieć tu Wita Stwosza, Falka, Chodowieckiego i wielu innych.

Sztych oddał historji polskiej wielkie usługi, wiele bowiem zatraconych portretów oryginalnych, zachowanych zostało po dziś dzień przez sztychy Falka, Johna, Kielisińskiego i wielu innych znakomitych rytowników.

Znajdują się między nimi drzeworytnicy i rytownicy w miedzi, tworzyli akwaforty, akwatinty, sztychy igiełkowe i t. d. Podaję tu kilku wybitniejszych na podstawie wyż wspomnianych dzieł: Alf (Alfons Aleksander) rysownik i sztycharz (akwa-tinta); słynna jego rycina „Ks. Józef Poniatowski na koniu“. Sztychował ubiory wojska polskiego z czasów Ks. Warszawskiego.

Bełdowski (1816—1850) tworzył drzeworyty prostym nożykiem, bez narzędzi, sam ilustrował „Przyjaciela dzieci“ (r. 1848).

Brückner Grzegorz żył u końca XVI. w. w Krakowie; o nim wspomina jeden z współczesnych pisarzy, iż dwaj uczniowie z bursy strzelili z okna i postrzelili pracującego naprzeciw w drukarni rytownika. Jednym z najsławniejszych rytowników polskich był Daniel Chodowiecki (1720—1801), zmarł jako dyrektor Akademji sztuk pięknych w Berlinie.

Niemcy nazywają go niemieckim Callotem, tymczasem był on z krwi i kości Polakiem z ziemiańskiej rodziny i sam pisze o sobie w liście do profesora astronomji w Krakowie, Daniela Łęskiego: „...kiedy W. Pan Dobr. zechce mnie liczyć do Polaków, których rodzice w Niemczech osiedli, to mię krzywdzisz, bo tym sposobem nie byłbym Polakiem, lecz Niemcem, a ja sobie zaszczyt czynię być prawdziwym Polakiem, chociażem w Niemczech osiadł.

Mimo to niemieccy historycy sztuki chrzczą go rodowitym Niemcem. Znanych jest jego do 2.000 znakomitych rycin. Brat jego, syn i córka, również zajmowali się rytowaniem.

Czacka Kunegunda, z domu ks. Sanguszko, rytowała portrety (1870); zasłynęła i robotami igiełkowemi.

Dietrich Ernest, nadworny sztycharz króla polskiego (1712—1774), którego dzieła są rzadkie i wysokiej wartości.

Prawdziwym zaszczytem polskiego rytownictwa, jednym z najznakomitszych sztycharzy europejskich, był Falk Jeremiasz, który podpisywał się „Polonus“, jak gdyby przeczuwał, że Niemcy zechcą go przywłaszczyć sobie.

Heweliusz (1611—1687), słynny astronom gdański był uczniem Falka, sam rytował ryciny do swoich dzieł. Miękkością i doskonałością rysunku słyną sztychy Johna Fryderyka, który kształcił się za granicą przy pomocy króla Stanisława Augusta. Stworzył on właściwy oryginalny sposób kropkowania. Podnieść należy i rodzinę

Kilianów, która zasłynęła talentem sztycharskim. Król August III. cenił ich wysoko i mawiał, gdy który z rytowników nie sztychował obrazów z galerji, wedle jego myśli: „trzeba znowu dać do Kiliana“.

Krethlow rytował z początkiem XIX. w. w Warszawie wizerunki „królów polskich“ — dawał również ryciny do dzieła Staszyca: „Ród ludzki“.

Słynny historyk nasz Lelewel sam rytował tablice do swych dzieł, prócz tych wiele innych sztychów.

W rodzaju Rembrandta rytował Norblin de la Gourdaine, założyciel szkoły malarskiej w Warszawie, z której wyszli artyści, jak: Kotowski, Płoński, Rustem i inni.

Europejskiej sławy artystą był rytownik i malarz Orłowski (rytował monety polskie).

Ryciny do pierwszego wydania Konrada Wallenroda są dziełem rytownika i malarza Smokowskiego, który zdobił licznymi drzeworytami „Bibljotekę pisarzy polskich“, „Niewiasty polskie“ i t. p.

Wit Stwosz (anektowany przez Niemców jako Veit Stoss) znakomity rzeźbiarz polski był i słynnym rytownikiem — sztychy jego, cenione na wagę złota, mieszczą się w Londynie i w Monachium.

Ukraiński poeta ludowy Taras Szewczeńko rytował na miedzi ukraińskie krajobrazy. Widoki Polski rytowała Tyszkiewiczowa Antonina, z domu ks. Poniatowska, a wymienićby można jeszcze znaczny poczet słynnych nazwisk polskich rytowników, współczesnych artystom innych krajów, o których wspominają dzieje sztuki.

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. Karol Kautski: *Rewolucja socjalna*. Wydawnictwo Polskiej Part. Soc. Proletarjat. Kraków, 1903 r. Książka Kautskiego rozpada się na dwie części: w pierwszej rozpatruje on stosunki współczesne, w drugiej stara się naszkicować plan działalności partji socjalistycznej w chwili, gdy władza państwowa znajdzie się w jej rękach.

Jak wiadomo, w czasach ostatnich, w łonie socjalizmu zachodnio-europejskiego powstały dwa kierunki: umiarkowanie oportunistyczny, chcący zbliżyć się do innych stonnictw opozycyjnych w imię „demokratyzacji państwa“ i reform w granicach dzisiejszego ustroju, reprezentowany przez Jauresa i Milleranda we Francji, Bernsteina i Vollmara w Niemczech, oraz Turatiego we Włoszech i rewolucyjny, zarzucający poprzedniemu kierunkowi nieliczenie się z celem ostatecznym, lekkomyślność w zawieraniu sojuszów z partjami innemi, odstępstwo od zasad socjalistycznych w praktyce (np. działalność Milleranda we Francji), wreszcie przesadny optymizm w poglądzie na możliwość stopniowego, pokojowego rozwiązania kwestji społecznej. Przedstawicielami tego rewolucyjnego kierunku są Gede i Wailland we Francji, Kautsky, Mehring w Niemczech i Ferri we Włoszech.

Kautsky, po śmierci Engelsa, jest najwybitniejszym przedstawicielem naukowego socjalizmu. W „Rewolucji socjalnej“ wykazuje on, na podstawie licznych faktów, że rządy współczesne i wyższe warstwy społeczne nie okazują bynajmniej tej skłonności do reform, o jakich rozpisują się oportuniści; że postęp prawodawstwa fabrycznego jest np. we Francji bardzo wolny. Wykazuje on dalej, że ideał socjalistyczny nie może zrealizować się w postaci małych zdobyczy, następujących po sobie; lecz że wymaga on pochwycenia władzy przez proletarjat, dla jednolitej akcji, przekształcającej planowo ustrój kapitalistyczny.

Rewolucję pojmuje Kautsky jako zmianę zasadniczą istniejącego ustroju społecznego, przeprowadzoną przez pewną klasę społeczną w jej interesach; zmianę, skutkiem której następuje przewrot w ustosunkowaniu się klas społecznych w państwie.

W pojęciu rewolucji dla Kautskiego momentem istotnym jest nie tyle forma przewrotu, jej gwałtowność n. p., ile raczej jej charakter, zmieniający zasadniczo istniejący ustrój społeczny.

Książka Kautskiego jest znamiennym objawem zwrotu na lewo pewnej części socjalistów, wywołanego długą reakcją i kierunkiem oportunistycznym innej ich części.

Wydanie polskie książki Kautskiego jest staranne i opatrzone przedmową wydawców, która wskazuje na zaniedbanie zagadnień teoretycznych wśród naszych socjalistów.

L. K.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego l. 8.